



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Stefania Peplawska

Akcja „łaskawej śmierci”

Przyszedłam na świat w Kolonii Chotum w parafii Sulerzyż osiem lat przed wybuchem II wojny światowej, jako czwarte, najmłodsze dziecko Stanisława i Apolonii z Cywińskich Peplawskich. Moje rodzeństwo to: najstarszy brat Bolesław, młodszy Krzysztof oraz siostra Mieczysława. Tatuś nasz, o wiele starszy od mamusi, przeszedł kilkuletnią służbę wojskową w głębi Rosji, walki na froncie I wojny światowej i następnie czteroletnią niemiecką niewolę. Cechowała Go szlachecka duma i wyjątkowa gościnność. Matuś – ceniąca ludzką mądrość – pragnęła nauki dla swych dzieci za wszelką cenę. Uczęszczaliśmy więc wszyscy do szkoły, wynosząc z niej umiłowanie wartości patriotycznych i religijnych.

Nagle zesłał Bóg na naszą rodzinę wielkie bolesne doświadczenie. Około piątego roku życia mój młodszy brat Krzysztof zaczął powoli tracić sprawność kończyn dolnych, a następnie górnych. To samo dotknęło siostrę, a następnie i mnie. Tylko mój najstarszy brat Bolesław pozostał zdrowy. I tak zaczęła się gehenna naszych ukochanych Rodziców związana z szukaniem pomocy lekarskiej u największych sław ówczesnej medycyny – profesorów słynnej warszawskiej kliniki „Omega”. Niestety panowie profesorowie nie potrafili postawić diagnozy, ponieważ choroba była niespotykana, skończyło się więc na eksperymentach z zabiegami chirurgicznymi i kosztownymi aparatami. Zrujnowało to Rodziców finansowo, ale nie duchowo. Oni do końca nie tracili nadziei na wyleczenie swoich dzieci. Wobec bezradności lekarzy zaczęli szukać różnego rodzaju znachorów, których już nie pamiętam, gdyż tamte kilkunastokrotne wyjazdy do Warszawy na szczęście mnie ominęły. W tym czasie byłam jeszcze maleńka i zdrowa.

W wieku sześciu lat rozpoczęłam naukę w szkole w Chotumiu – najlepszej w całej okolicy, bowiem pracowali w niej wspaniali nauczyciele, dbający o wysoki poziom edukacji. Kochałam moich wychowawców. Lgnęłam do nich całym sercem. Niestety, to moje sielskie dzieciństwo trwało tylko trzy lata. Bracia i siostra zdążyli ukończyć szkołę powszechną przed wojną, a ja musiałam kontynuować naukę na tzw. „tajnych kompletach” razem z koleżanką i dwoma kolegami.

Mój brat Krzysztof w roku 1938 rozpoczął naukę w Gimnazjum im. Zygmunta Krasińskiego w Ciechanowie i dopiero tu lekarz szkolny dr Malinowski, badający kandydatów po egzaminach wstępnych, znalazł w księgach lekarskich nazwę naszej choroby – „postępujący zanik mięśni na tle neurologicznym”. Do wybuchu wojny brat mój zdążył ukończyć tylko pierwszą klasę, ale jeden rok nauki języka niemieckiego wystarczył mu, by doskonale rozmówić się z Niemcem. To samo było z łaciną czy po wojnie z angielskim, którego uczył się dłużej.

Naukę przyswajaliśmy sobie stosunkowo łatwo. Szkoła była najciekawszym miejscem na ziemi i dlatego mamusia po powrocie z wywiadówek miała zawsze promienny uśmiech na kochanej twarzy, co było małym szczęściem dla całej rodziny.

Wakacje w 1939 roku upływały pod znakiem jakiegoś niepokoju społecznego, a w sierpniu nagle obiegło Polskę budzące grozę słowo „powszechna mobilizacja”. A zatem wojna! Nie dotyczyło to jednak naszej rodziny, ponieważ tatuś ukończył już sześćdziesiąt pięć lat, a brat miał dopiero siedemnaście. Odeszli jednak sąsiedzi, krewni i mój ulubiony wychowawca pan Kazimierz Stelmaszewski, który zostawił żonę z dwuletnią córeczką i sześciotygodniowym synkiem. Panuje ogólny płacz i przestraszanie. I oto 1 września 1939 roku wybuchła II wojna światowa. Na Ciechanów spadły pierwsze bomby raniące i zabijające kilka osób. Trzeciego września w niedzielę od strony Mławy nadciągnęły rzesze rodzin uciekających z całym dobytkiem. Słysząc było ryk przestraszonych krów, płacz dzieci i ogromne zamieszanie. W naszym domu pojawiło się pełno ludzi, którzy wstępowali aby się ogrzać, ponieważ noc była bardzo zimna. Łuny pożarów i kolumny cofających się wojsk dopełniały miary zamętu i grozy. U nas też wszystko przygotowane było do ucieczki. Jedni sąsiedzi już wyjechali, inni czekali na decyzję naszych rodziców. Tatuś jednak nie zdecydował się na opuszczenie swego domu i zostaliśmy razem z kilkoma innymi rodzinami. Wszystko to odbierane oczami i sercem dziecka miało wymiary jakiegoś apokaliptycznego kataklizmu, ale to był dopiero początek koszmaru okupacyjnej nocy, która potem nastąpiła.

Bombardowanie naszych okolic trwało stosunkowo krótko. Front przesunął się w głąb kraju i wkrótce zobaczyliśmy hitlerowskich żołnierzy na motocyklach. Niemcy rozpoczęli swoją okrutną władzę w Polsce. Dla Polaków zabrakło w sklepach soli, drożdży, nafty, mydła i wielu innych artykułów. Żywność na wsi na szczęście była swoja, ale za zabicie świni groziła kara śmierci. Rozpoczęły się aresztowania nauczycieli, księży i innych wykształconych osób. Do obozu w Dachau trafił mój chrzestny, kierownik naszej szkoły Feliks Kowalski. Jednak największy dramat w naszej rodzinie nastąpił nieco później.

Niemcy zaślepieni pychą rasizmu w okrutny sposób znęcali się nad Żydami, a także nad Polakami. Krążyły pogłoski, że chcą wymordować wszystkich chorych, określanych dziś słowem „niepełnosprawni”. I tu zaczął się nasz największy dramat. Na dzień 20 lutego 1940 roku zaplanowali Niemcy straszny mord na osobach niepełnosprawnych z terenu całego północnego Mazowsza w miejscowości Ościsłowo, a raczej w przylegającym do niej lesie. Wydane przez nich zarządzenie zobowiązywało sołtysów do ujawnienia wszystkich osób dotkniętych jakimkolwiek trwałym schorzeniem i doręczenia im urzędowego wezwania do stawienia się w budynku gminy Ościsłowo na rzekome „badania lekarskie”. Taki właśnie nakaz z rąk sołtysa Konstantego Krakowskiego otrzymali również moi Rodzice. Dotyczył on dostarczenia do punktu zbiórki trojga dzieci – Krzysztofa lat 14, Mieczysławy lat 12 i mnie – Stefanii lat 9. Co do prawdziwych zamiarów okupanta nikt nie miał wątpliwości, jednakże dokument urzędowy był tak obostrzony sankcjami, że prawie wszystkie osoby podlegające zbrodniczej akcji znalazły się w wyznaczonym miejscu. Tego wołającego o pomstę mordu dokonano 20 lutego 1940 roku w pięknym, dużym lesie sosnowym, około 2 kilometrów od Ościsłowa, po prawej stronie szosy Ciechanów – Glinojeczek – Płock. Zakopano w kilku dołach setki zastrzelonych i część żywych ludzi. Tylko nieliczne rodziny, narażając się na utratę życia, ukryły swoich bliskich na czas pogromu. Do tych nielicznych bohaterów należeli moi ś.p. Rodzice. Ich wielka miłość przerosła wszelkie zbrodnicze moce i ocaliła nam życie.

Przed „Herodową komisją” tatuś stawiał się sam. Niemcy odesłali go z powrotem polecając natychmiastowe dostarczenie dzieci. W tym czasie mamusia razem z nami modliła się na kłęczkach w domu. Na szczęście akcja była jednorazowa, dzięki czemu uniknęliśmy zagłady. Hitlerowcy uznali, że teren został „oczyszczony”. Przeżycie to jednak spowodowało gwałtowny postęp choroby. Do końca wojny żyliśmy też w ciągłym strachu i często w ukryciu. Moja siostra i ja prawie przestałyśmy samodzielnie chodzić. Tatusiowi jakby nagle przybyło lat, a silne przeżycia pochyliły Jego siwą głowę do ziemi.

Nikt nie zna dokładnej liczby niewinnie uśmierconych w ramach owej akcji „łaskawej śmierci” – jak ją nazwali hitlerowcy. Komisja badająca sprawę po wojnie doliczyła się dwóch tysięcy ofiar, ale rzeczywista liczba była zapewne o wiele wyższa.

Już w początkowym okresie okupacji Niemcy zmuszali wszystkich do niewolniczej pracy. Nawet dzieci zamiast nauki w szkole zatrudnione były do zbierania kamienie na drogach i polach, które potem gospodarze posiadający konie wozili na budowę dróg. Zburzone zostały wszystkie kamienne parkany przy kościołach, cmentarzach i prywatnych gospodarstwach. Główny ciężar tej niewolniczej pracy wyznaczonej przez sołtysów spadł na barki naszego najstarszego brata. To on był prawie codziennie poza domem, bo woził różnego rodzaju materiały.

A wracając do naszej rodziny to 26 lutego 1942 roku umarł mój ukochany Dziadziuś ś.p. Feliks Cywiński, u którego znajdowałam schronienie w każdym niebezpieczeństwie. Była to dla mnie pierwsza bolesna strata. Pobierałam w tym czasie lekcje (oczywiście po kryjomu) u pani Stelmaszewskiej, która

mieszkała blisko nas, a jednocześnie zaczęłam uczyć się od swojej siostrzyczki ręcznych robótek. Obie z siostrą robiłyśmy na drutach swetry, sukienki i inne potrzebne rzeczy dla całej rodziny. Materiał, tzn. wełna i len, też były wyprodukowane we własnym zakresie. Brat Krzysztof zajął się hodowlą królików. Czytałyśmy wówczas bardzo wiele książek – głośno, na zmianę dla całej rodziny.

Na wsi łatwiej było przeżyć okupacyjną biedę i dlatego wielu ludzi z miast schroniło się u krewnych czy znajomych. U nas też przebywała znajoma pani z Warszawy ze swoją siostrzenicą. Czasem zjawiał się jakiś wystraszony Żydek, który zdołał ująć śmierci i błąkał się po okolicy. Brat ukrywał go gdzieś w sianie, zanosił mu jedzenie, a następnie Żydek znowu gdzieś znikał.

Nadszedł rok 1944. Terror niemiecki nasilił się, mnożyły się aresztowania Akowców. Jednocześnie zabierano młodych ludzi do kopania okopów. W pierwszej grupie wzięli naszego brata, ale na szczęście po miesiacu wrócił do domu. Powstanie Warszawskie przeżywałyśmy bardzo mocno, tym bardziej, że nasze znajome miały tam całe rodziny.

Z frontu nad Narwią słychać było głuchoe odgłosy strzałów przez kilka tygodni, a w październiku w całej okolicy rozlokowali się na odpoczynek wycofani z frontu niemieccy żołnierze. Ich pobyt spowodował, że ludność polska poczuła się bezpieczniej, bo żandarmi zaprzestali swoich najazdów. W styczniu 1945 roku było już gorzej, gdyż pojawiło się Gestapo. Przez radiostację nadawali głośno jakieś szyfrogramy. Ponure twarze nie wróżyły nic dobrego. Wtulona gdzieś w kącie byłam pewna, że za chwilę pozabijają nas z rewolwerów, które mieli przy boku. Trwało to kilkanaście godzin, po czym nagle zaczęli szybko zwijać kable o w ogromnym pośpiechu opuścili nasz teren. Do tej pory uważam to za prawdziwy cud, że zostaliśmy przy życiu.

Teraz wydarzenia następowały bardzo szybko po sobie. Brata razem z wozem i końmi zabrali do wywożenia Niemców uciekających z Ościsłowa. Błagaliśmy Boga całą noc i wkrótce powrócił do domu. Jeszcze jakiś oddział niemieckiego wojska zatrzymał się na krótko, ale już armatnie kule lecące od strony lotniska w Sokołówku trafiły w ich czołg zabijając kilku żołnierzy, a następnego dnia, tj. 17 stycznia 1945 roku wkroczyli Rosjanie. Jechali wszystkimi drogami i od razu wszędzie było ich pełno. Skończyła się okrutna okupacja, ale wyzwolenicza Armia Czerwona zabierała wszystko, co pozostawili Niemcy. Gospodarstwo nasze zostało zrujnowane, pozostał tylko jeden koń i dwie krowy. Ostatnie świniaki kazali oddać dla armii. Bez względu jednak na nowe represje, dla nas najważniejsze było to, że już nie grozi nam śmierć.

Nauczyciele w szybkim tempie zorganizowali szkoły i już w lutym 1945 roku rozpoczęliśmy naukę – brat Krzysiu w gimnazjum im. Zygmunta Krasińskiego przy ulicy Powstańców Warszawskich w Ciechanowie, a my z siostrą w domu, ponieważ z chodzeniem były już trudności. Przychodziła do nas nauczycielka, pani Irena Kowalska, która w szybkim tempie nadrobiła z nami wojenne zaległości.